

Bolesław Jabłoński

część V z V

Sygnatura notacji: **N0048**

Data urodzenia: **14.07.1937 r.**

Data nagrania: **24.01.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otrębusy, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 57 min, część III: 52 min,**

Format nagrania: **video** **część VI: 48 min, część V: 86 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bolesław Andrzej Jabłoński: Z Solidarnością Walczącą, z którą mieliśmy jakiś kontakt przez pułkownika Teligę. No i w zasadzie, jak ktoś został, jak to później nazwaliśmy, spadochroniarzem drugiego KOR-u, to skończyły się akcje odwetowe. Były tylko banery, bardzo dużo ulotek, audycje, a nie było tego, co uważaliśmy za rzecz szalenie istotną, ponieważ z własnych doświadczeń z ubecją wiem, że to byli ludzie, którzy byli bardzo schematycznie szkoleni. Oni zaczynali rozmowę od z góry basem i patrzyli. Jeżeli ktoś mięknie, to jeszcze raz go po łbie, a jeśli się mu powiedziało: „Ależ pan jest nerwowy. Czy pan coś bierze na uspokojenie? Bo to... Jak pan ma rodzinę, to przecież może się skończyć”. I facet się robił jakimś dobrym wujkiem, który dbał o moje dobro, dlatego trochę przemocy, uważam, że było potrzebne. No, a wybiegając w przyszłość... Jakbym mógł tutaj chwilę się zatrzymać, jeżeli chodzi właśnie o Klincewicza, bo z tego, co udało mi się przeczytać, – to Teos i „Alek” tutaj bywali wielokrotnie. –

Artur Kłus: Tak. I przy okazji, jak już jest teraz ten wątek Teosia, chciałbym pana zapytać, żeby pan przedstawił, co się może wydawać zawile, tę strukturę w ogóle grup specjalnych, a później Grup Oporu, dlaczego była zmiana i od kiedy, i dlaczego można traktować właśnie Teosia jako przywódcę, a „Alka” jako przywódcę, i tę strukturalną część organizacyjną bardziej omówić.

Bolesław Andrzej Jabłoński: W zasadzie to pełna struktura naszych grup specjalnych to był przełom 1982–1983, kiedy była nie tylko komórka legalizacyjna, była osobna komórka, która była transportem, zajmowała się transportem zewnętrznym, to chodziło głównie o Szwecję, grupa techniczna, bez której nie byłoby nagrań, która przygotowywała i banery, potem grupy uliczne i to, co ja trzymałem, mianowicie namiastkę informacji defensywnej archiwum i tak

zwanego transportu wewnętrznego, czyli dowóz papieru, wywóz tego, co już się wydrukowało, cała poligrafia i jednocześnie kolportaż, bo to było bardzo duże przedsięwzięcie. Alek był również człowiekiem karnym i powiem szczerze, że przeżył fakt, że Teoś przyszedł z nadania Bujaka, a „Alka” odstawili. I jaka moja jest właśnie opinia o Teosiu i o tym, w jaki sposób też tutaj wniknęła ta gnida komunistyczna, Tadeusz. Otóż miałem niepotwierdzoną informację, że Tadeusza, to wynikało z rysopisu, ktoś opisał mi jako kierowcę Miastkowskiego. To... No, jednak na złodzieju czapka gore i myśmy się obawiali, że facet może nam zrobić krzywdy dość dużo, zwłaszcza, że on był zaangażowany w to spotkanie, o którym mówiłem, kiedy przed Podwalem, przed tą tablicą, „Alek” poszedł ze Skotem i Jackiem na spotkanie z przedstawicielami. On jakoś tam chłopakom mignął jako jeden z tych, którzy byli w MRKS-ie. I odbyło się spotkanie Teosia w jadalni na Wiatracznej, tutaj na tym taki półokrągły jest budynek. To spotkanie obstawiał Tomek „Wariat”... on był wtedy ze spluwą w razie czego. No i Teoś się zgodził na takiej zasadzie, bo mówi: „Słuchaj, to jest prymityw, który, jak da mu się trochę zarobić, to będzie ciągnął pieniądze z wydawnictwa, a będzie parasol”. Z drugiej strony, mając swoich ludzi w Szczecinie, dowiedziałem się, że Tadeusz pochodził z tak zwanego lumpenproletariatu szczecińskiego, co to pijaczek, cinkciarz, trochę złodziej i to nawet, jeżeli byłyby jakieś powiązania ubeckie, to początkowo myślę sobie: „No tak, przyłapali chłopaka na handlu dolarami i może dlatego zmiękł”. Dlaczego tutaj wszedł w Otrębusach? Był kłopot ze znalezieniem dobrego miejsca na umieszczenie drukarni. Ja mieszkalem, jak wiecie, w tych krzakach, można było wiać też przez kilka innych miejsc, miałem możliwość szybkiej ewakuacji, co przećwiczyłem dwukrotnie przed odsiadką w dołkach Andrzeja Grabickiego i Czeška Kropielnickiego. Minusem było to, że najmłodszy syn miał chyba 4–5 lat, ale była taka zasada. Teoś, Tadeusz nie może być w jakikolwiek sposób wmontowany w grupy uliczne i w jakiegokolwiek nasze inne grupy. Ja mu ze swoich ludzi mogę pokazać tylko Grabickiego, który będzie woził papier, który Tadeusz zdobędzie. I potem się okazało, że nie wszystko jest tak, zresztą Teoś był nieobliczalny: potrafił przyjechać z Tadeuszem bez uprzedzenia i kiedyś Wojtko Skowrona z Armenii wyprowadzałem przez garaż, bo to po ciemku, na jesieni, żeby nie wiedzieli, kto to jest. Kiedyś, pierwszego dnia świąt przyjechali, tu rodzina siedzi przy stole: „Daj coś jeść, bo wszystko pozamykane”. Zaniósłem im do tamtego drugiego pokoju, tu drzwi przymknąłem i powiedziałem, że jak są święta, różni ludzie przychodzą, to przecież mogę mieć tutaj ludzi poszukiwanych listem gończym, więc tak się nie robi. Ale pękło, to był chyba rok 1986 czy może 1985, nieważne. Tadeusz odbierał tutaj nakład, siedział w kuchni i tak rzucił przed siebie, że na Dworcu Centralnym ma być uruchomiona gadała, podał termin, tylko brakuje staczy. Staczy to tacy, którzy robią tłum, żeby ubecja nie bardzo szybko mogła dojść do gadały. I ja zbaraniałem, mrugnąłem do żony i potem żonę umówiłem właśnie z Tadeuszem, żeby tam miała pójść, ale poprosiłem, żeby za wszelką cenę Teosia tutaj przywiozła. I powiem szczerze, że była bardzo przykra rozmowa, bo od gówniarzy, nawet wulgarnie mu nawymyślałem że nie przestrzega BHP i w zasadzie przez półtora roku to myśmy się bardzo okazjonalnie widywali, nasze stosunki oziębły. I uważałem go za człowieka nonszalanckiego, Nie mogłem mu darować na przykład takich rzeczy, że przez niego musiałem jechać do Krakowa do przyjaciół, bo któryś z offsetów, który Ramotowski odebrał tutaj pod Warszawą, pojechał tam na peryferie Krakowa i do uruchomienia tego skierował niejakiego Skazę, to był poligraf zawodowy, który razem z Teosiem siedział. No i umówiłem tych swoich krakusów, tylko powiedziałem: „Słuchajcie, dla BHP to na łeb jakiś worek, żeby nie wiedział, dokąd go wieziecie”. I tak też się stało, bo nawet byłem skłonny przypuszczać, że tam jest jakiś bziuczek, tak, jak z tą maszyną, która wyjechała od Borusewicza do Lęborka i chłopaki uruchomili, z ręką w nocniku ich nakryli. Ale oni byli tak szczęśliwi, że maszyna chodzi, że mają taki sprzęt. Kiedyś poligrafia to był dołek sprzętowy, że zapomnieli mu na łeb założyć worka, jak go odwozili na dworzec. I chłopcy wpadli. No i potem

się okazało, sondowałem, że Skaza ma kontakt z UB, a do Skazy przychodził również do zakładu Teoś. Uważałem, że tak nie można, ale to, czego dowiedziałem się już po okrągłym stole, że on potrafił na zebrania kierowników Grup Oporu przywozić Tadeusza, co było podwójnym wykroczeniem, bo myśmy ustalili, że nie ma mowy o tym, żeby wszyscy kierownicy grup byli razem. Trzeba stosować zasadę konspiracyjną: najwyżej dwóch, trzech się może znać w ramach współdziałania, ale jeżeli jest 26 grup, jak myśmy kiedyś naliczyli w rozkwicie, no to to jest harakiri w konspiracji. I się okazało, że on Tadeusza potrafił przywozić. Ba, taki pseudonim „Roman”, mi powiedział, że kiedyś na odprawę przyjechał tylko Tadeusz. To można tylko powiedzieć dwa razy, mieć dwa określenia: albo groźny idiota, albo osoba nietykalna. Nie chciałem jego pamięci nic ująć, bo chłopak rzeczywiście tracił życie na konspiracji, nawet jak matka mu przysłała z Bundesrepublik pieniądze na samochód, jak wyszedł w 1984 roku, to te pieniądze przeznaczył na cele konspiracyjne, czego żaden z bossów nie raczył przekazać i nie raczył się z tego rozliczyć. Więc tak po 1983 roku, pomimo tej rozbudowanej struktury naszych Grup Oporu późniejszych, przeszliśmy na troszkę inny sposób działania, ale bardzo ważnym elementem stała się nasza drukarnia, bo jak powiedziałem, skończyły się dotacje typu sprzętu albo pieniędzy od „tysego”, bo on potem poszedł siedzieć, i też przez wtykę, dlatego, że powiedzieli... To jest architekt przecież, „tysy”, że: „My wiemy, że pan ma kryjówkę, gdzie jest maszyna. Albo pan pokaże, albo rozbierzemy dom, bo mamy takie polecenie”. No i pokazał, gdzie ma maszynę. I skąd wzięła się ta cała nasza maszyneria? Otóż pierwsza maszyna, jaką tutaj miałem, to był powielacz białkowy „Romeo”, prawdopodobnie przez jeszcze kogoś od Suchego, z którym miał kontakt Alek, po prostu przez... Sam albo przez złodzieja zahaczył ten powielacz z komitetu dzielnicowego Parki Warszawa Praga. – Jaki to był wtedy okres? – Przełom 1982 na 1983 rok. Bo tutaj coś tam napisane, że na przełomie maja i czerwca 1982 roku, poproszono pana o zgodę na wstawienie do domu maszyny – do drukowania „Tygodnika Mazowsze”. – Tak, ale to była maszyna Armenii. Ja tę maszynę musiałem oddać potem przez Witka. Uważałem, że tutaj mogłem nie oddać, ale uważałem, że nie można takich rzeczy robić, nawzajem sobie świństw. Myśmy Armenii pomagali w rozrzucaniu ulotek, które zapowiadają audycje radiowe, jakieś takie rzeczy i to byli bardzo fajni ludzie, zresztą sąsiedzi z Podkowy. I Ramotowski pisząc książkę, on się pomylił, bo ja, w jakichś tam wspomnieniach, do których mnie nakłonił Mariusz Zieliński, na takiej zasadzie, że: „Pisz, wiele rzeczy nie będziesz pamiętał, ale chociaż coś zostanie, inni będą dopowiadali”. Napisałem właśnie o tej maszynie, a ponieważ odebrałem od Swena offset i nie chciałem, żeby były dwie maszyny, to Janusz myślał, że ja od Swena odebrałem w ogóle dwie maszyny. Myśmy byli, mówiąc nieładnie, frajerami, bo mieliśmy byle jaki sprzęt, a to, co Ramotowski odbierał ze Szwecji, to szło w Polskę. W sumie było chyba ze 40 czy 45 maszyn. No i pierwsza praca, jaką tutaj miałem, taka typu broszurki, to Teoś wykombinował stare matryce z Nowej, jakieś były wiersze... To chodziło po prostu, żeby sprzedać, – żeby mieć pieniądze. – To była końcówka 1982 roku? Tak, tak. A pierwsza praca już nasza, gdzie na okładce były te dwie cholerne grabule naszych przyjaciół, to był czwarty rozbiór Polski. Ponieważ autorów początkowo miał załatwiać, jak się śmieję, grafoman, Tadeusz, który o poligrafii i o wydawnictwach nie miał zupełnie pojęcia, to zaczęły do mnie spływać jakieś tłumaczenia rosyjskich decydentów, jakieś takie rzeczy, które mi się nie podobały, pod względem nawet merytorycznym. No i potem dzięki temu, że Romek Rybicki wrócił ze Stanów Zjednoczonych, a jednocześnie miał też duże rozeznanie w środowisku akowskim, to będąc w Stanach, załatwił nam druk kilku książek do tak zwanej biblioteki historycznej na zasadzie „ocalić od zapomnienia”. To były wspomnienia generała Rudnickiego, o ile pamiętam, „Emisariusz Jur”. Właśnie, z „Emisariuszem Jurem” to była awantura. Ślad tego jest u Mariusza Olczaka. Na jakieś zebranie związane z wydawnictwami, z drukami zwartymi, poszedł Teoś i przewodniczył temu zebraniu towarzysz Geremek. Ochrzanił strasznie Teosia, mówiąc, że... najdelikatniej

powiedział, że młodzi niedokształceni ludzie z Grup Oporu, a już były wtedy Grupy Oporu, a nie grupy specjalne, bo nie chcieli, żeby brzmiało to jako jakiś terroryzm. Ale jeszcze, powiem szczerze, że były wymienne nazwy, bo nawet w tych naszych drukach zwartych, kiedy popatrzyłem, z roku 1985 jeszcze były grupy specjalne, które są zasilane z tej drukarni „Rytm”. I samo to logo to był pomysł Teosia, nie Tadeusza. Kardiogram, rytm serca Polaka. I on go ochrzanił, że młodzi ludzie z Grup Oporu, którzy nie znają historii, wydrukowali książkę znanego antysemitę, Lerskiego i jeżeli tak dalej będzie, to nie dadzą żadnych dotacji, że to jest skandal i takie, takie sranie po ścianie. Teoś tutaj przyjechał taki troszkę speszony, a mnie spiekiło, bo akurat mój tato znał Lerskiego i ja wiedziałem z opowiadań rodzinnych, że Lerski miał wybity ząb czy dwa zęby w obronie Żydów, jak zrobili narodowcy judenhetze na uniwersytecie we Lwowie. Nawet zapomniałem, że dostał te odznaczenia Yad Vashem, tylko napisałem kartkę przez Teosia, że jeżeli będzie szkalował w dalszym ciągu zarówno tak zasłużonego autora dla Polski, to my potrafimy być brutalni, tak jak to było w 1981 roku, kiedy trzeba było odebrać pieniądze przysłane z Paryża dla konspiracji dla Warszawy i miały być przywłaszczone przecież przez środowisko artystyczne. Po prostu było krótko: „Pieniądze albo w dziób”. „A my... my nie mamy”. Buch, buch, buch, buch, buch. „No, no, to ja poszukam” „Dawaj resztę, ty taki, nie taki”. I ja to podpisałem swoim pseudonimem „Profesor”, bo taki miałem też i zaniósł Teoś tam do skrzynki dla Geremka. Jak się potem dowiedziałem, przy wydawaniu Wałęsy, to był dobry manewr, niezamierzony, dlatego że Boguta miał wydawać Wałęsę, te... Jak to się nazywało? – „Droga nadziei”? – O, o, właśnie, tak, tak. Ale ktoś powiedział: „A może »Rytm«?”. On tak się zastanowił: „Dobrze, dobrze, dobrze”. I Geremek tłumaczył z francuskiego, te maszynopisy trafiały do mojej żony, tam w tym budynku wileńskim. Chciałem jeszcze powiedzieć, że tutaj w tym domu – mieściło się właśnie wydawnictwo. – Wydawnictwo, tak, tak. I robiła korektę. Żona była dobra w korektach, znaczy lepsza ode mnie, chociaż ja byłem przedtem zaangażowany w redakcjach i „Acta Ornithologica”, w „Aktach Ornithologicznych”, ale ona miała takie zezowate spojrzenie czasami, literówki potrafiła wyłapywać, bo ja najpierw musiałem przeczytać tekst od strony merytorycznej, dopiero potem patrzyłem na literówki, a ona to od razu łapała, nawet jak były przygotowane ulotki, to chyba „Region” przygotował na rocznicę powstania w getcie i tekst był też angielski, to wyłapała żona też błędy. No i pierwszy nakład dwóch tysięcy egzemplarzy każdy, to były dwa tomy, tutaj u nas był wydrukowany, przy czym, ponieważ to chodziło o tempo, to pojawił się u mnie tak zwany „Janeczek”, pseudonim, to były mąż Chaberówny, czyli Heleny... No, skleroza... Witek łuczywo, o, łuczywo ona. Siedzi w gazecie teraz u Michnika. Proponowali mi, żebym się skoncentrował na sprawach wydawniczych i w ogóle przestał pracować po wypadnięciu z instytutu. Oferowali mi bardzo pokaźne tak zwane stypendium konspiracyjne, bo wtedy jak miałem w instytucie chyba dwa i pół jako adiunkt, to tutaj było około czterech, więc to była ogromna forsa, ale uważałem, że to jest absurd, bo to jest podkładanie łba pod topór. Facet żyje, dobrze mu się powodzi i nigdzie nie pracuje. Więc trzeba go rozpracować. I powstał wtedy pomysł, żeby tutaj gdzieś w pobliżu była filia naszej drukarni, żeby można było robić tak: tu się drukuje, a cały proces stron, bigowanie okładki, tu przy pomocy widelca, bo się na odpowiednią szerokość wyłamywało, ostrza od widelca, potem gilotynowanie, to kupa roboty. I mój kolega z koła łowieckiego, taki Andrzej Zelczak, który mieszkał w Komorowie, dał bardzo dobrą rzecz u pani Anieli Kasprowiczowej. To był dom wolnostojący, była świetna legenda, samotna kobieta, chłopcy przychodzą, a to na ubecję działało i drugi nakład w takiej samej ilości był składany już tam i tam częściowo był drukowany chyba drugi tom. W okresie mego bezrobocia, bo ta firma prywatna, w której ja się jakoś zakonspirowałem, utworzona przez Czeška Kropielnickiego, bo w tym barze „Hutnik”, gdzie był agentem, mu się zaczęło tam palić pod nogami, bo kilka osób było zatrudnionych, byli studenci usunięci z uniwersytetu, tam ktoś listem gończym poszukiwany. No i stworzyli taki zakład do produkcji żyw-

ności na peryferiach Milanówka i ponieważ tam pracował, trochę mendowaty, no ale... Bo wyszedł z „Trybuny Ludu” z redakcji, a miał pseudonim „Paweł Reszke”, napisał „Chleb albo socjalizm” i już był po naszej stronie, był współwłaścicielem oprócz Czeška, i Anka Łabentowicz, która nie była w konspiracji, ale normalnie myślała, ona była po przetwórstwie w SGGW, więc była tym mózgiem produkcji. A to była bardzo fajna rzecz, bo oprócz normalnych robotników, to zakręcałem słoiki z majonezem albo z chrzanem, z filozofem byłem, chłopak po konserwatorium muzycznym, się śmiałem, że gra na maszynie, która chrupki wywala, a kierowcy nie wiedzieli, że przecież w beczce z kiszoną kapustą są puszki, w których jest bibuła na przykład. Albo było w ten sposób, że w naszej skrzynce trzeba było odebrać tam jakąś ilość ulotek, to specjalne paczki się robiło ze słoikami na wierzchu i mówiło: „Jacku, to w ramach rekompensaty dla tego pana, bo on kupił w sklepie od naszej firmy zepsuty majonez, wiesz, firma prywatna, musimy się starać o reputację”. I Jacek nie wiedział, co robi i paczkę zawoził. Mało tego, papier to było coś nieprawdopodobnego. Był taki przepis w latach 80., że samodzielny pracownik naukowy, nie ktoś, kto zrobił habilitację, tylko kto miał etat, jedną ryzę mógł kupić na miesiąc i dlatego też jak myśmy tutaj drukowali na przykład „Tygodnik” czy coś, to było tak, że pierwsza strona tutaj była do weryfikacji, odrzucali, bo czasami były przewały, czasami były puste kartki i ten mój najmłodszy, który strasznie zazdrościł, że starsi coś robią, tu są drzwi zamknięte: „Tata, pozwól, pozwól mi, tata, ja będę grzeczny”, to umiał liczyć do dziesięciu, to układał te przerzuty białe dziesiątkami, żebyśmy wiedzieli, ile mamy arkuszy papieru. No i potem się odnosiło, wiedzieliśmy, jakie straty, trzeba było dokręcić jedną stronę, potem to samo z drugą. Jak z książką, to był tak zwany kierat domowy, to każdy chodził wkoło stołu i rzucał na konkretne miejsce, szesnaste, szesnaste, tutaj tak, prawda, to rzeczywiście był kierat. A jeszcze to był problem z przechowywaniem tego. Tak, to był problem, zwłaszcza latem, w zimie były kaloryfery, a latem nie. Jeżeli były dzżyste dni, papier bardzo łatwo chłonie wodę, ale miałem piec taki, w którym można było nawet butami palić, tam to nawet w lipcu się czasami przepaliło, żeby obeschło i papier był na górze, w tym pokoju na górze i chłopcy wiedzieli, o co chodzi i był pewien szlaban dla kolegów, których nie bardzo można było sprowadzać, najwyżej tylko tutaj na parter, a nie na górę. Ale tak jak baćko Stalin powiedział: „Był kształtuje świadomość”. O, jestem pokolenie takie i chłopcy czuli bluesa. Kiedyś z „Wariatem” byliśmy potwornie ujechani, bo było dużo przerzutów, a zakończyliśmy drukowanie... Znaczący tak, że zaczęło się wieczorem w piątek, a w niedzielę prawie nad ranem myśmy się położyli. I ten mój drugi syn, największy nygus i śpioch, pierwszy wstał, pobudził braci i do worka niedopalone fragmenty gazety zbierali, potem dla niepoznaki rzucali się śnieżkami. Dlaczego? Bo stary a głupi, chociaż miał różne chemie w czasie studiów, jak naładowali piec tymi papierami, to to gasło, więc wziąłem pogrzebacz, tam pomergałem, pomergałem, nagły dopływ powietrza, jak to się nagle schajcowało, ja szczęśliwy, że się pali, „Wariat” to samo, poszliśmy spać. I dobrze, że to było w takim momencie, że i trochę padał śnieg, więc to wszystko umknęło, a to właśnie świadczy, jak dzieci łapią aktualne zagrożenia. I wtedy mi się przypomniał mój blamaż z lat dziecińczych. Otóż było jakieś przyjęcie, tata z leśnymi, to tam ktoś, ja, taki brzdąc, miałem łebek konika, taki wypchany na kijku i wiedziałem, że są sami swoi. I wpadłem do salonu, mówię: „Proszę państwa, jak podaje radio Londyn, to coś...” i zacząłem recytować komunikat z nasłuchu mojej mamy. Konsternacja, prawda? Ale świadomość dziecka, że to niby wszyscy swoi i synowie wiedzieli, że ktoś przychodzi obcy, to na takie tematy się nie rozmawia, nawet ten mój najstarszy, – który do dziesięciu liczył, to wiedział... – Najmłodszy? Tak, znaczący najmłodszy. „Słuchaj, jak będzie wpadka, to tak: każdego z was do innego sierocińca wezmą, ani mamusi, ani tatusia do końca życia nie zobaczysz i wy będziecie w dupę dostawali jako dzieci podziemia, tak że uważaj”. Właśnie chciałem się o to też zapytać pana, bo tu się mieściło wydawnictwo, tu się bibuła przetaczała w ogromnych ilościach i we wszystko była zaangażowana rodzina, dzieci,

żona. Jak właśnie to się przekładała ta działalność na to życie rodzinne, – o się przenikało, tak? – Po latach, to już po Okrągłym Stole, kiedy byłem potwornie zdegustowany zdradą, żona mi powiedziała: „Wiesz co? Mnie brakuje trochę tych piątków, sobót, że tutaj się siadało i robiło”. Pocieszaliśmy się wzajemnie, że każdy numer „Tygodnika” wysłany tutaj, bo jeszcze się zawiązało w paczki, szyframi pisało gdzie, to tak jak po audycji tej radiowej na „Gloria Victis” powiedziałem do taty: „Tata, to jeszcze jeden gwóźdź w dupę komunizmowi”. Uważaliśmy, że po prostu tak trzeba, że inaczej nie można. W końcu nawet przez relacje rodzinne, które szły przez pokolenia, gdzie Polska zawsze była na pierwszym miejscu, mogłem mieć ten wyjazd do Bundesrepublik czy do Holandii, ale ja bym nie śmiał ludziom w oczy patrzeć. I z drugiej strony właśnie stwierdziłem, że nie bardzo się do tej roboty nadaję, bo mnie prawie objechał Kwieciński. Jak mu powiedziałem, że zrelacjonowałem mu tę rozmowę z tym Czarkiem, on ręce załamał. Mówi: „Słuchaj, coś ty najlepszego zrobił?” i dał mi przykład Władysława Siwka, prawda, ze ZBoWiD-u. Mielibyśmy jeszcze jednego człowieka tam, gdzie trzeba. Ale mieć dwie twarze, to trudno, to może to poprzednie pokolenie wychowywane w innych warunkach na to mogło się zdobyć, ale tutaj to było bardzo trudne. Jeszcze jak ta praca taka codzienna, która tutaj w tym domu się odbywała, też był przykład różnych gości i była chyba historia z zakonnicami. A, to przypadkowa. Te zakonnice były swoje, bo na początku stanu wojennego dostałem od kogoś ze znajomych opornik się w klapie nosiło i jednocześnie miałem taką czarną wstążeczkę. I ta jedna z sióstr mówi: „Czy jakieś nieszczęście w rodzinie?”, więc wyjaśniłem, że nie. A te zakonnice tu przychodziły, bo nie mieliśmy jeszcze kościoła, tutaj w Otrębusach była kaplica. Tę kaplicę ludzie własnym sumptem wyremontowali, ale chodziło o naukę religii. Ponieważ ja byłem „dzieciorobem ponurym”, bo był najpierw ten Przemek, prototyp, a po siedmiu latach krótka seria nieformacyjna, raz... Znaczą dwa, trzy, cztery, prawda? Więc te siostrzyczki tutaj miały w tym pokoju zajęcia z religii i stąd ta znajomość ich. No i właśnie... A to z nimi było tak, że wyłączyli światło i w związku z tym, że drukarnia była na dole, było ciemno, ale drukarnia na tak zwany prąd. Koniec, a to wiem, że mają... Chłopaki czekają ze Szczecina, z Wrocławia, z Krakowa, no, kurza mogiła. Wnieśliśmy... Najpierw poprosiłem Aśkę, żeby trochę przymknęła drzwi, jak będziemy tutaj maszynę wnosili, a potem wniosło się maszyny, już nie pamiętam, 30 czy więcej, każdy w odpowiedniej prędkości musiał zrobić obrotów, bo te obroty warunkowały, że papier się nie będzie kleił, że to będzie wszystko wychodziło. No i tak do końca-śmy wydrukowali... – One na pewno to słyszały. – Za... Tutaj wszystko było słychać i kiedyś, już po latach, mówiła któraś z nich, że się modliła, żeby się udało. Ale były sytuacje, kiedy drukarnia mogła wpaść? Dwa razy. Dwa razy i zakończyło się tylko moimi dwoma dołkami, przy czym jeden był bardzo chytrze pomyślany. Zabrali mnie 23 lipca, a ja już miałem informację od pani z poczty, której ktoś z rodziny pracował w MSW, to była tam jakaś wyższa szarża typu pułkownik czy podpułkownik i dał jej znać, że: „To jak, dzisiaj będziesz w domu? To ja bym do ciebie z kolegami przyjechał”. I nie wiem, jak to się stało, że ona komuś powiedziała na pocztce, że tutaj ktoś chyba przyjedzie, bo gdzieś chyba drukarnia jakaś musi być. I ludzie podchwycili i mi donieśli. Andrzej Grabicki był tutaj po sąsiedzku, 50 metrów, zapakowało się wszystko i byłem czysty Bolek. Na wszelki wypadek wzięli mnie do Grodziska, ale dlaczego to była bardzo pouczająca rzecz. Bo były pustki zupełnie w komisariacie po 22., kiedy było pogotowie i nawet tak sobie pomyślałem: „Choroba jasna, szkoda, że tak tu jestem z dobrej woli nakazu, bo mógłbym im „skunksa” tutaj wrzucić, nikt by nie zauważył”. A potem chcieli mnie, mówiąc delikatnie, w konia zrobić. Pan major zostawił mnie samego, otworzył jakąś księgę i ja tylko zdołałem zerknąć, że na liście współpracowników jest fryzjer z hotelu, tym na placu Saskim, który mieszka w Błoniu, był podany adres, a to było tak, że jeszcze były resztki jakichś takich naszych rzeczy, w cudzysłowie, „terrorystycznych”. I myślę sobie: „O, chcą starego wróbla na końskie gówno wziąć”. I jakby coś tu takiego było w okolicy, to byłyby poszlaki. Po raz drugi nie wiem, z jakiej

przyczyny to było, akurat pieliliem w ogrodzie, to była jesień, zabrali mnie do Brwinowa. Tam był taki tępy sierżant, miał dyżur wtedy i normalna rzecz, jak to w wojsku mówią, praca myślowa: człowiek siada i kombinuje, czy to uprzągnięte, czy tam jest w porządku, czy jest BHP, czy nie będzie jakiejś wpadki, a potem człowiek się nudzi. Ja potrafię siedzieć tak, bo się nauczyłem na morzu, jak miałem wachtę i stałem przy sterze i człowiek tylko w jedną i w drugą stronę, ale coś mnie podkuśiło i zacząłem śpiewać: „A ja sobie z góry jadę i na areszt organ kładę”, o. I pan sierżant krzyknął: „Zatrzymany! Wy pćciowo nie śpiewacie, ale ja i tak wiem, o co się wam rozchodzi, a tak nie idzie śpiewać”. I ja jak głupek tak głupio powiedziałem: „Tak jest, mam wykonać”. „Jak to dobrze, bo tu są takie głupie, że tego nie rozumieją”. I nawet można powiedzieć, żeśmy się prawie zaprzyjaźnili, a to nie w tym rzecz, otóż już po Okrągłym Stole ta firma produkująca artykuły spożywcze, w której jeszcze wtedy byłem, zajmowała się handlem różnymi rzeczami, bo różne firmy bankrutowały, typu Hortex, bo to trzeba było sprywatyzować. I firma, która była na Hallera, to wtedy było jakoś inaczej, jakiś komunista tam był, tam był plac... Mniejsza z tym, dostałem adres i księgowa mówi: „Panie Bolesławie, może by tam pan pojechał do tej firmy i załatwił?”. Więc ja do księgowej, to: „Nie można, bo to, bo tamto, bo owo”. Już wychodziłem i słyszę aż zza jednych... Aha, że to pan dyrektor poszedł. I przechodziłem koło jednych drzwi, a tam potworne, nierządne kobiety ganiały, takie klątwy, że na Targówku to savoir-vivre. Myślę sobie: „Kurza mogiła, to może tu pan dyrektor będzie?”. Otwieram drzwi i zbaraniałem, ale faceta zaskoczyłem, bo jak przywieźli tutaj mi do Brwinowa pana pułkownika z Warszawy na rozmowę ze mną, to się okazało, że to jest pan dyrektor, który „maciami” rzuca. I: „O co chodzi?”, a ja do niego per panie pułkowniku. Wchodzę, zbaraniałem, widziałem. Ja mówię, że: „Przyszedłem, bo jesteście winni mojej firmie” „A tak, ile?”, poleciał do księgowej, dostałem całą wypłatę, samochód, żeby mnie dowiózł do Milanówka, wszystko było w porządku, a to świadczy właśnie, jacy ludzie zaczęli się wtedy po Okrągłym Stole dorabiać. – No, tak. – A to to był tak zwany mały pryszcz, bo nasza działalność po Okrągłym Stole – to w zasadzie była spod stołu. – Bo jeszcze chciałbym wrócić do takiej jeszcze kwestii drobnej, do gabinetu cieni. Mea culpa, maxima culpa starcza. Przepraszam. Otóż dlatego że byliśmy, że tak powiem, pod parasolem, tym mentalnym ludzi z Armii Krajowej, to był ich pomysł, był ich pomysł, żeby przygotowywać się, aby po objęciu władzy znać aktualne problemy gospodarcze, polityczne, takie różne historie. I będąc biologiem z wykształcenia, zmontowałem najpierw ten zespół, powiedzmy, przyrody ożywionej i nieożywionej, i dzięki temu na przykład powstał cykl ulotek „Czerwone tróje”, bo miałem świeże informacje. Potem rozszerzaliśmy to, następnym etapem, pamiętam, był profesor Górny z SGGW, rolnik, wspaniały człowiek, rozszerzaliśmy na inne dziedziny życia i powiem szczerze, że zachowała się taka pożółkła kartka, zupełnie przypadkowo ją odnalazł „Cienki” Janek już po oddaniu mego archiwum do Mariusza Olczaka. Po prostu nie upowszechniałem początkowo gabinetu cieni, ponieważ uważałem, że nie ma żadnego zaplecza merytorycznego tutaj w garści, ale ta żółta kartka to były notatki, 1988 chyba rok, z jakiegoś tutaj spotkania. A mieliśmy tutaj znamienitych jak Kurtyka na przykład i znamienna rzecz właśnie, jeśli chodzi o niego i o moją żonę, bo jeśli chodzi o sprawy oświatowe, to zastanawialiśmy się nad programem edukacyjnym dla szkół i zarówno on, jak i moja żona stwierdzili, że trzeba bazować na podręcznikach przedwojennych. Kurtyka chciał, żeby to był stan do 1939 roku i w ciągu roku czy tam góra trzech opracować aktualne podręczniki z historią, natomiast moja żona miała zająć się sprawami przyrodniczymi, bo była z wykształcenia też biologiem, a to świadczy, na jakim jednak poziomie stała przedwojenna edukacja. I tam były z tego naszego zebrania wypisane konkretne propozycje do objęcia ministerstw. I była znamienna rzecz, że Jacek Maziarski, on miał takiego nosa dziennikarskiego, wyczuwał wcześniej tę sytuację, która ma być i napisał jakiś taki raport, który potem poszedł do... To się nazywało „Przegląd Agencji”. Nie, „Informacji Agencyjnych” czy coś takiego. To był podziemny tygodnik.

Że będzie kłopot, jak się nie zrobi od razu wyborów od szczebla gminnego poprzez sejmowy, bo komuniści mają przewagę i nawet gdyby był nasz parlament, to tych strat nie wyrównamy. I tutaj nawet wypada się cofnąć jeszcze w ramach tego, że ciągle dygresyjki, do spotkania opłatkowego w kurii w 1978 roku u księdza prymasa. To było spotkanie dla żołnierzy Armii Krajowej i tych, którzy z nimi współpracują. I prymas powiedział wtedy prorocze słowa: „Historia nabrała przyspieszenia, komunizm niedługo upadnie. Ja, niestety, tego nie doczekam, ale wasze pokolenie – to znaczy o mnie chodziło – tak, tylko pamiętajcie, że ci, którzy ten komunizm tworzyli, a na tym etapie historii są waszymi sprzymierzeńcami, gdyby udało im się przejąć władzę po upadku komunizmu, to będzie nieszczęście, bo to są ludzie, dla których moralność jest pojęciem względnym”. No i nihil novi, prawda? I tak to się niestety stało. Ale dlaczego tak się mogło stać? Otóż tutaj jak był pan Keller z tych „Paszportów Wolności” czy Niepodległości, on potem to wyrzucił, ale właśnie też zadał mi to pytanie: „Dlaczego wy nie przejęliście władzy?”. To tam on tylko nagrał, ale nie wykorzystał. Prosta rzecz, młode pokolenie nie znało nowej historii Polski, młode pokolenie było spragnione niepodległości. Trudno sobie współczesnym ludziom wyobrazić, jaka była inwigilacja społeczeństwa. Taki przykład: kiedy z Markiem, naszym szefem organizacji młodzieżowej „Zew Lasu/Pomoc Armii Krajowej” po treningu siedliśmy na ławce w parku Skaryszewskim, tam była przedwojenna jeszcze muszla koncertowa, łącznie z kibelkiem. I jak omówiliśmy coś, co mamy załatwić, to Marek powiada: „Wiesz, zobaczmy, jakie tam są napisy”, a tam napisy były takie, jak, powiedzmy sobie, o mentalności ludzi z Pragi, że tam jakaś Kaśka daje w takich i w takich godzinach, że tam coś jest, i coś nam do łba strzeliło i drukowanymi literami jeden i drugi napisać na klepkach bardzo popularny wtedy wierszyk: „Sraj na portret Lenina, sraj na portret Stalina, sraj na ten cały nasz rząd pieski, jeno nie obsrywaj deski”. No, nic. Proszę sobie wyobrazić, że po tygodniu kadrowi w Wedlu, bo to było na vis-a-vis jeziora, i też w pobliżu była fabryka zwac, nie zwac, tam na Grochowskiej. Wzywali kobiety do 35. roku życia, 45. – mężczyzn i musieli drukowanymi literami pisać imię i nazwisko, adres, na jakim wydziale pracuje, od kiedy, co tam robi. No, po prostu chodziło o to, że potem, jak jednemu z tych pracowników pani kadrowa powiedziała, że do grafomana [grafologa] to zanoszę. No i to najlepiej świadczy, że w takich szczegółach interesowali się życiem ludzkim. Dlatego też, kiedy nagle był ten powiew wolności, to ludzie nie zwracali uwagi na to, kto mówi. Dlatego ja miałem za zadanie po powrocie z Antarktydy wylapywać tych różnych krzykaczy. A oprócz tego co jeszcze było? Drugi KOR, to byli ludzie, którzy byli mistrzami propagandy. Pamiętam, że podrzucili mi taką broszurkę „Mikołajek”, to na wzór opowiadań dla dzieci francuskich. I tutaj pamiętam, że był, ho, ho, ho, Adaś Jąkała, tam ktoś jeszcze, ho, ho, ho. To było przeznaczone dla dzieci, już ustawianie pewnego poziomu mentalności. Ksiądz Kantorski tutaj, zaślubiony dla konspiracji, ale też kiedyś on potrafił mieć takie kazania niezwiązane z niedzielą i Ewangelią, to biadał nad tym, że tacy ludzie, którzy są w konspiracji, właśnie jak Michnik, się nie mogą ożenić, że się kładą na ołtarzu ojczyzny i takie, takie różne rzeczy. No i to, co już powiedziałem, że znamienna historia: byli komuniści, którzy opanowali drugi KOR, porozumieli się z Giedroyciem, a nie mogli znaleźć wspólnego języka z naszym rządem na uchodźstwie w Londynie. I rzecz dla mnie zastanawiająca, a to tylko dla panów, dla historyków, taki moment. W 1985 roku generał Jaruzelski, nie wiem dlaczego, pojechał na forum ONZ do New Yorku, nie wiem, dlaczego tam się znalazł, nawet nie wiem, czy miał jakiś speech tam czy coś takiego, nie, ale wiadomo mi, że od ludzi ze Stanów Zjednoczonych, od nas, że spotkał się z Rockefellerem. No, taki facet jak Rockefeller nie traci czasu, żeby z byle sokolim oczkiem się spotkać. Coś tam wykombinowali sobie, nie wiem, czy nie sprzedaż Polski, ale niestety to jakoś umknęło uwadze. I był taki moment jeszcze po Okrągłym Stole, kiedy tutaj właśnie wujaszek Teliga siedział i mówił: „Panie Bolesławie, ma być cisza, ma być spokój, ale pan wie, gdzie są bagna. Niektórzy ludzie muszą zniknąć, to w dalszym ciągu jest aktualne”. Ale wte-

dy była taka klaka, taka reklama Wałęsy, że nawet sugestia, żebyśmy zrobili, to była sugestia Janka „Cienkiego”, skok na archiwum MSW, była nieaktualna, bo by powiedzieli, że jesteśmy dołami ubecji, którzy chcą skompromitować nasz rząd i dobrych komunistów. I jednocześnie jaka była dwulicowość tych na górze. Bratkowski opublikował dwie broszury, które mu drukowałem tutaj, mało tego, raz w tygodniu wydawał na taśmie tak zwaną „Gazetę Bratkowskiego”, notabene mądre rozważania ekonomiczne, ale trzeba pamiętać, że ten człowiek kiedyś był w KC od prasy, a jego brat na wszelki wypadek był do wyborów, do drugiej tury wyborów, jeszcze członkiem PZPR. I potem to było tak: tu czerwone, tu białe w rodzinie, robiło się różowo i tu mamy taką sytuację.

Artur Kłus: Jeśli jeszcze możemy, jakby o jedną kwestię bym tak dopytał, żeby zakończyć ten temat wydawnictwa „Rytm” i tego... Roli i udziału w przejściu tego wydawnictwa, czy kierowaniem Mariana Pękalskiego vel Kotarskiego, jakby tutaj pan mógł to dokończyć, z tym, że jedną rzecz tylko bym dopytał, jeżeli pan pamięta, jak w ogóle trafił Pękalski vel Kotarski w ogóle do struktur?

Bolesław Andrzej Jabłoński: Ja już to powiedziałem, że w tej jadłodajni, tam na Wiatracznej, Teoś z nim miał długą rozmowę i Teoś go zareklamował, i przyjął. I powiem szczerze, że on bardzo... – Jakby do was do struktur przyszedł od razu z... – Tak. Z rekomendacji Teosia i powiem szczerze, że ja też podobnie myślałem tak jak w przypadku Wałęsy w pewnym momencie, ponieważ, powiem, nasi ludzie powiedzieli, z jakich dołów on się wywodzi ze Szczecina, to pomyślałem sobie: „No, cinkciarza, gówniarza, który skończył technikum gastronomiczne złapali, łomot, no a teraz rzeczywiście dużo czasu poświęca”. Ale zarówno Teoś, jak i nikt z regionu nie dał mi odpowiedzi, gdzie on pracuje, czy ma stypendium z regionu, unikali tych odpowiedzi. Ale ponieważ był bardzo zaangażowany, to sobie myślę, może jak w tej satyrycznej powieści, którą trudno powiedzieć, że napisałem w szkole, ale miałem za nią dwóję, o wiejskiej nauczycielce Antoninie Małek, którą przepało. Myślę sobie: „No, może jego też przepało” i stał się normalnym człowiekiem, zwłaszcza że wiedziałem, spotyka się z Bogutą, spotyka się z Łuczywo, spotyka się Geremkiem, z Kuratowską, Kuroniem, w końcu jakieś zasady konspiracji były i ja nie miałem tylu nici w garści, żeby ocenić, ale oni byli wyżej, więc chyba bardziej powinni zadbać o BHP. No, ale to były takie same historie, znowu dygresja, jak z biurem w Brukseli, tam siedziała moja znajoma z wyprawy antarktycznej, Aśka Pilarska. Ja jej zagrypsowałem, że maszyny przejmuję, ale sam na wałku robię: „Aśka, pomóż”. I ona mi w ciągu tygodnia dała odpowiedź: „Cieszę się, że nie siedzisz, że robisz konkretną rzecz, a nie bijesz piany, ale za bardzo cię lubię, żebym ci mogła cokolwiek posyłać”. Myślę sobie: „O kurna, mogiła, to tam smród musi być”. I pytałem się ludzi zarówno przez Józefa Teligę, jak i przez znajomych we Wrocławiu, którzy się spinali i wszyscy mówili, że to jest dziwna rzecz, ale ponieważ Chojecki miał z nim kontakt, że Kaleta miał kontakt, myślę sobie: „No, może wyolbrzymiam sytuację”. Ale potem, co się okazało, że kolega enkawudzistą został w nagrodę, wice był ministrem w MON-ie. I tak właśnie liczyłem na to, że Tadeusz może... Jak tę nauczycielkę wiejską przypało. I jak to się stało, że on przejął „Rytm”? To była taka sytuacja, że były te zmiany po Okrągłym Stole, – pozostały mi różne rzeczy... – Przed Okrągłym Stolem było tak, że on współpracował cały czas, ale wszystko, jeżeli chodzi o „Rytm”, – było pod pana... – Tak, i mało tego, z Tomkiem „Wariatem” myśmy mieli swój kanał kolportażowy, bo nie ufaliśmy do końca i to były właśnie tak zwane schody, bo Kotarski dbał, żebym się rozliczał ze zużytego papieru, więc dodatkowo miałem zajęcie, żeby papier organizować. I druk Wałęsy, tej „Drogi nadziei” w zasadzie cały nam zapas zmagazynowanego papieru spożytkował, że prawie nic nie było, była jakaś luka. Ja to miałem jakąś starą maszynę, chyba Gesslertera jeszcze, na której coś kręciłem w okresie Okrąg-

głego Stołu. On offset wywiózł tam do Komorowa, bo kończyli „Drogę nadziei”, i zaczęły się te historie związane zarówno z naszą akcją „Zbignię”, którą tutaj pokazywałem, ten arkusz zgłoszeniowy do możliwości objęcia stanowiska prezydenta nie przez Wałęsę i oprócz tego nagle ja się też stałem bezrobotny, bo ta firma, w której pracowałem, Cześka, zbankrutowała. Było krucho z pieniędzmi, a zajęliśmy się z „Alkiem”, że tak powiem, odtwarzaniem jednocześnie tej konspiracji pod nazwą... to było Stowarzyszenie Sportowo-Kulturalne Regionu Mazowsze, myśmy się tak początkowo przypięli. I tam były duże osiągnięcia, że tak powiem, natury socjalnej, bo w jednym roku to około dziesięciu tysięcy dzieciaków bezpłatnie pojechało na kolonie. Organizował „Alek” kluby sportowe przy parafiach. Ja zajmowałem się tym, co było mi najbliższe: wychwytywanie różnych czerwonych przekrętów. Kilkanaście zabytkowych kamieniczek udało się uratować. Ba, między innymi jedna z nich to była kamieniczka, gdzie Geremek mieszkał na Nowym Mieście. Szlag mnie trafił, bo kiedyś uprawiałem jazdę szybką na lodzie i dowiedziałem się, że pułkownik czy podpułkownik chce za kilka pensji adiunkta Akademii Nauk kupić obiekt na... Stegnach ten żyźwiarski i zrobić tam ogromną chłodnię i zamrażarkę dla Warszawy, żywności. No, ponieważ są takie czasy, że szczególnie nie można podawać, ale powiem tak, że człowiek został zdjęty z chodnika, było to działanie psychologiczne, rozmawialiśmy po rosyjsku i następnego dnia w magistracie złożył rezygnację z tego. I to było jedno z większych osiągnięć. Angażowaliśmy się również bardzo w takie rzeczy, jak palenie dokumentów z MSW. Właśnie między innymi dla mnie skok dla MSW, który proponował na archiwum „Cienki”, było nie tylko niemożliwe, dlatego że to byli ludzie, którzy stali się bohaterami przemian ustrojowych, ale nie wiedziałem dokładnie, jaki jest schemat tych różnych pomieszczeń, jakie to archiwum jest, co zawiera, co trzeba nagle brać. To było niewykonalne. No i potem to archiwum Adaś Jąkała i Holzer wyczyścili na zlecenie sejmu. Zajmowaliśmy się takimi rzeczami. – Był... – Już „Rytm” był wtedy już przejęty? Już, ale właśnie to było tak, że nic się nie działo z „Rytmem”. Ja jeszcze do Zbyszka Gluzy sporo materiału dałem, bo to były te wschodnie rzeczy, między innymi wspaniałe wspomnienia z rysunkami państwa Wzorków ze Lwowa, architektów, którzy dopiero w 1946 roku wrócili do Polski, bo nie zdołali dojść do armii Andersa. Wspaniałe ilustracje przy pomocy kilku kolorów robione na papierze takim pakowym. I to z „Alkiem” udało się sfotografować, jak byliśmy w Krakowie. zajmowaliśmy się jeszcze zbieraniem archiwaliów na zasadzie takich, że ocalić od zapomnienia. Jaki... taki był tytuł, że tak powiem, tej naszej biblioteki historycznej, bo ludzie się potwornie starzeli. I masę tych rzeczy poszło zarówno do Archiwum Akt Nowych, jak i właśnie ze wschodu do Zbyszka Gluzy, a w ogóle żeby wyżyć, to znajomi mi dawali jakieś tam zleczone wykłady na uniwersytecie albo prace magisterskie, potem tak została utworzona ta Wyższa Szkoła w Puławach humanistyczna, tam był wydział ochrony środowiska, tam też się zahaçażywałem, ale to tylko na zasadzie zleconych, tak że przestałem się interesować tym, co Tadeusz ma, co wziął, bo po prostu żyłem dniem codziennym, miałem ważniejsze sprawy. Słuchajcie, były takie sytuacje, że jak Pawłaki były u władzy, to sprowadzili ze Stanów Zjednoczonych przeterminowane i tak toksyczne preparaty ochrony roślin, że Amerykanie chcieli dać do mogilników, takie betonowe bloki. I tu chcieli za pół ceny sprzedawać naszym rolnikom. Udało się utrącić, tak że mieliśmy kupę innej roboty i w pewnym momencie mnie Tadeusz zaprosił, tam u siebie miał już wtedy to biuro na Górczewskiej chyba, bo się okazało, że jest kilka niewydrukowanych pozycji autorów, których sprowadzał Romek Rybicki i ja z zagranicy czy Stanów Zjednoczonych, no i chciał, żeby to pomóc wydać. I powiem szczerze, że wziąłem się za to, zwłaszcza że tam wtedy u niego też siedział, ale bardzo krótko, Mariusz Zieliński, nieżyjący biednik, ale jak nie mogłem się z nim dogadać prawie na wstępie, żeby uhonorować ludzi, którzy nam tutaj pomagali, którzy byli w zasadzie takimi pionkami, bez których by się nie dało nic zrobić, to ten termin był ciągle przesuwany, przesuwany, w końcu powiedziałem: „A pies ci do grobu nasikał” i dałem święty spokój. – Już kontaktu

nie było. – Kontakty się urwały. A w ogóle ta wiedza... Podejrzanie o tym, że on jest agentem, to gdzieś... Kiedy pierwsze jakieś sygnały pojawiały się? Pierwsza niepewność to było to, jak... Właśnie, dlaczego... Jak się Teoś z nim spotkał na Wiatracznej, a „Wariat” ich obstawiał, ponieważ wspomniałem, że rysopis kierowcy Miastkowskiego odpowiadał mi rysopisowi Tadeusza, aczkolwiek nie mieliśmy czarno na białym, bo w ramach współpracy z innymi regionami, myśmy sobie wysyłali fotografie ubiaków. O, na przykład był taki z Bielska-Białej tutaj przeniesiony z Warszawy, prawda, nikt go nie znał, więc tam się podsyłał, a tutaj fotografii Tadeusza nie było. I w zasadzie to przez cały ten czas konspiracji, zwłaszcza jak głupi Teoś go zabierał, jak potem się okazało, na te spotkania z kierownikami grup, to do głowy mi nie przyszło, że na takie spotkania może być zapraszany, ale to skutkowało tym, że kilka grup odeszło. Odszedł Mirecki, Waldeczki odeszły, Targówek odszedł, jeszcze ktoś, bo na złodzieju czapka gore i ludzie trochę się bali, prawda, że będzie wyspa. I nawet w jakichś wspomnieniach ja napisałem, że albo Tadeusz nie chce robić tych spotkań dla uhonorowania... Dałem jakiś tam przykład typu merkantylnego albo po prostu ma nieczyste sumienie i na tym się skończyło. I Włodek Domagalski, jak kiedyś, nie pamiętam, znalazł jakiś worek, którego nie zdążyli spalić, to się okazało, kto jest kto. Jeszcze kamyczek do ogródka po Okrągłym Stole. Chłopcy z Jeziornej dali mi informację, że stoi ciężarówka z dokumentami, która przyjechała z UB. – Pomieszczenie zamknięte, a oni nic... – Który rok mniej więcej? No to już był... Odtworzyć można w ten sposób, że ministrem był pan Kozłowski od MSW. I pracownicy Jeziorni, więc z Jeziornej, nie mieli dostępu do tego pomieszczenia. Poszedłem do pana Kozłowskiego i zrelacjonowałem mu tę sytuację. „To, wie pan, to... nie, to przecież by tak nie wydali coś, co może zginąć, a wartościowe”. I po jakimś tygodniu czy dziesięciu dniach musieli to zmielić. A były też takie rzeczy, że on, Rosjanin, pułkownik, ona niby Polka, też wysokiej rangi oficer z Rakowieckiej, byli wysłani przez pana Stelmachowskiego, który był od Polonii, żeby uczyć języka polskiego, polskiej historii do Kazachstanu, do naszych rodaków. No to biust i ręce opadały. A na te nasze alarmy jakoś nie... – Nie było reakcji. – Nie było reakcji. Tak samo, co mnie z drugiej strony trzymało, żeby się na przykład nie związać z Kaczyńskimi. Jechałem na zebranie Porozumienia Centrum z Jackiem Maziarskim, my byliśmy blisko, tak samo myśmy myśleli. I coś mnie tknęło, mówię: „Jacek, słuchaj, jak jest z tą giedroycyzną?”. Przecież jeździłem między innymi do Lwowa i tam im małe dwie drukarnie proste zakładałem, wyjeżdżałem do Wilna i z ich opozycją miałem kontakt i dobrze, że trochę znałem historii, bo oni na mnie od razu napadli w katedrze, że wyście nas wynaradawiali. I uważam, że tych ludzi powinno się po rękach całować za to, że w tak trudnych warunkach zachowali wiarę, polską mowę, zwyczaje polskie. Litwini nam są z kolei winni Ponary, ci znowu rezuny i że nie można tak im w tyłek włożyć bez wazeliny. I jak wysiedliśmy z Jackiem w Warszawie, to tylko przywitał nas „Alek”, ja mówię: „Alek, to niech chłopaki obstawiają, żeby ubeki w razie czego nie wtargnęły, a ja mam ich głęboko w dupie, czyli między pośladkami i przyjeżdż do mnie wieczorem”. Pojechałem wściekły do taty, a tata mówi: „Przecież oni nie rozumieją, ci młodzi, tego, co się dzieje”. Na Ukrainie nawet do tej pory jest do 30% Ukraińców. Jak był ten hołodomor, to żeby zaludnić tereny wyludnione i żyzne, i z węglem, i rudą, sprowadzali ludzi ze środkowej mateczki Rosji tak jak Janukowycz, to jest rodzina przeflancowana spod Witebska. A więc nie ma o czym mówić. A znamienna rzecz właśnie, jeśli chodzi o Wilno, to ja to gdzieś napisałem, bo znalazłem się w Wilnie przed jakimiś wyborami i byłem u pana Sienkiewicza, który był prezesem związku Polaków na Litwie. I przyszedł starszy pan, lekarz, Żyd i mówi mi: „Wie pan, co? My tutaj mamy problem, dlatego że kandydatem, podobno porządnym człowiekiem, katolikiem, jest Litwin, a z drugiej strony jest...”. Jak on to ujął? Chodziło o synonim łajzy, łachudry czy czegoś takiego. „moskal i my na tego moskala będziemy głosowali, bo my się boimy Litwinów, bo pamiętamy Ponary”. I tego nie brali pod uwagę. Ja byłem na cmentarzu tam na wzgórzach w 1984 roku, pamiętam, że zapaliliśmy 50 zniczy białych i czerwonych,

postawili 50 chorągiewek biało-czerwonych i 50 izraelskich, bo tam Żydów bardzo rozstrzelali, ale to w maju robi się późno ciemno, tak że to jakieś ze niecałe dwie godziny po zmroku wszystko było pogaszone. I właśnie dopiero w 1995 roku moja działalność ta na pół jawna, skończyła się wraz z tym, jak przestałem drukować i redagować „Biuletyn Ochrony Środowiska”, czyli „BOŚ”, gdzie pisaliśmy różne petycje, typu na Berdyczów do Ministerstwa Leśnictwa czy Wód, bo były bezsensowne propozycje zmian. Chcieliśmy, żeby powstała Agencja Poszanowania Energii, to wszystko... – Czy to już... To lata 90. – Tak, do 1995 roku włącznie. W dalszym ciągu ja nie miałem możliwości, żeby pracować na Wilczej w instytucie, prawda, byli ci sami ludzie, miałem starych rodziców, chłopcy dorastali, więc zajmowałem się innymi rzeczami, żeby zarobić i troszeczkę odpuściłem, aczkolwiek wtedy zbliżyłem się dopiero bardziej do „Cienkiego” Janka i postanowiłem wykorzystać jego walory aktorskie, i staraliśmy się obstawiać z wieńcem, kotwicą, z tym „S-em”, różne uroczystości wynikające z dat, z historii, czy to Olszynka Grochowska, czy tam jakieś inne rzeczy. Janek jako aktor zabierał wtedy często głos, a jeszcze wcześniej stawialiśmy nie tylko bierny opór, bo w obronie rządu Olszewskiego autentycznie biliśmy się już z naszą policją pod pomnikiem Witosa, potem przyszli na pomoc nam koledzy z Ursusa i bitwa wzdłuż Nowego Świata aż do kościoła świętej Anny i wtedy „Gruby”, czyli ten Izgarszew, o którym wspominałem, błysnął talentem, przyniósł cały plecak z mąką. Policja miała takie tarcze jak hoplici, jak się taką tarczę uderzyło z bliska paczką z mąką, to mieli matową tarczę i wtedy we trzech na nich się rzucało. Jeden wykręcał łapę, drugi tarczę, trzeci walił pana policjanta w łeb. Jeszcze chodziliśmy w tak zwanych marszach na Belweder i palili kukłę mego imiennika, a potem taką porządną mobilizacją, jakimś odrodzeniem naszych struktur to był Smoleńsk. Nie wszyscy jakoś zapamiętali, że oprócz tej obrony krzyża, to... Nie pamiętam, to było tak jeszcze... Nie wiem, czy nie w maju już. Ojców kapucynów pierwsza msza święta za tych, którzy zginęli, z bardzo rozsądnymi prelekcjami na temat historii Polski. Ja pamiętam, pierwsza to była poświęcona Grobowi Nieznanego Żołnierza i jak był wiec wyborczy, tak zwany prezydencki, na Placu Teatralnym, to był Ładosz, on tutaj kiedyś mieszkał w Otrębusach, byli ludzie z ambasady gruzińskiej, żeśmy im podziękowali, a potem były regularne te marsze z katedry. Potem, cóż, włączaliśmy się w takie akcje, jak ochrona lasów, którym przewodniczył profesor Szyszko, ja byłem z nim bardzo blisko. Szukałem sobie ewentualnie jakieś ikonografii, natrafiłem na mój apel do koleżanek i kolegów, to był chyba 2014 rok, tam jest data wyborów do ratusza warszawskiego, gdzie przedstawiłem właśnie, dlaczego takich ludzi się nie powinno wybierać i to Janek upowszechniał za pomocą Internetu. Ja nie mam Internetu i jak wiecie, ja się przedstawiałem jako Bolesław Bicz bywający inteligentny człowiek. Tutaj mamy kilka takich i pamiątek rodzinnych, i z organizacji. Grupy Oporu, zresztą bardzo ładnie wykonane w brązie, miały być wmurowane w Katedrze Wojska Polskiego, ale tam jest pewien szablon w wystroju, w kruchcie i nie można było tego zrobić, a poza tym chodziło o to, żeby Minister Obrony Narodowej wydał nam zaświadczenie, że byliśmy organizacją paramilitarną, a z tym, myślę, że nie byłoby kłopotu, ale w końcu myśmy sobie jakoś to odpuścili. Na tym zdjęciu z najstarszym synem jest Wim Aufhausen, ten, który miał skrzynkę tak zwaną w Amsterdamie dla nas dla przepływu wiadomości i jednocześnie załatwił nam druk dwóch tysięcy egzemplarzy Pisma Świętego, o czym wspominałem, i w języku litewskim, ukraińskim i rosyjskim. A to jest moja największa duma: „Rodzinę J. i B. Jabłońskich, oddaję w opiekę Matce Bożej” i podpis prymasa księdza Wyszyńskiego z... Patrząc tutaj, to jest 1965 rok, bo jednak trochę mi się udało mu pomóc w tych bardzo, bardzo trudnych latach, kiedy kościół był inwigilowany. A to jest też moja bardzo miła pamiątka, dlatego że mam bzika na punkcie 1863 roku, bo i po kądzieli i po mieczu, jedni i drudzy byli pradziadkowie zaangażowani i tracili. Ksiądz Stanisław Małkowski, który naprawdę był na zawołanie nie tylko przy tych smoleńskich naszych rzeczach, ale przecież jak był ten obraźliwy spektakl „Golgota Picnic”, on był z tym staruszką, nie pamiętam nazwiska

tego ojca, który u Zulusów tam kiedyś siedział, więc bardzo, bardzo go cenię. A tutaj, to jest... Ten kindżał to jest turkmeński jeszcze, ten był kiedyś wysadzany drogocennymi kamieniami, ale go wyszabrowali, przy czym pochwa jest od jakiegoś znakomitego dżentelmena, a rękojeść jest z saksaułu. Saksauł to jest takie drzewo, które... Właściwie drzewo, krzak, które rośnie na pustyniach i jest potwornie twarde, co oznacza, że sam kindżał to musiał być od jakiegoś pastucha, nie wybitnej osobistości.